Ner 22. Kraków, 3go Czerwca. 1861.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„**Niewiasta**“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie**, Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

Od Redaktora.

Z końcem miesiąca czerwca b. r. skończy się trzecie ćwierćrocze istnienia *Niewiasty*, pisma czasowego, Płci pięknej wyłącznie poświęconego, które rozpocząłem i w tem przekonaniu prowadzę, że Towarzystwo ludzkie tem wyżej się wznosi, im płeć piękna wyższe zajmuje stanowisko pod względem myśli i uczucia, moralnie i estetycznie wykształconego. Nie mogę się skarżyć na brak poparcia ze strony Szanownej Publiczności, wszakże nie podobna mi przyznać, aby toż było dostatecznem; owszem moralnie znaglony jestem powiedzieć, że jeżeli jeszcze przed upływem roku 1861 poparcie większem nie będzie, *Niewiasta* dłużej jak do końca 1861 r. utrzymać się nie zdoła.

Dodać powinienem, że nietylko głęboko czuję, ale i najjaśniej przekonanym jestem, iż pismo moje jest dalekiem od celu, który sobie zamierzyłem; aby je rozwinąć bardziej i posunąć naprzód, na to trzeba znacznego współudziału Publiczności.

Tego współudziału, nie będąc pessymistą, spodziewam się, jakem powinien.

Upraszam: 1ód aby Ci, którzy jeszcze winni za drugi kwartał 1861, jak najspieszniej należytość przysłali; 2re aby Ci, którzy tylko po 1szy lipiec 1861 należytość zapłacili, dalszą jak najśpieszniej uiścili, dla niedoznania przerwy w odbieraniu dalszego ciągu pisma. Nakoniec, aby Życzliwi tendencyom Redakcyi, raczyli przysporzyć jej wpływem swoim więcej Prenumerujących, w którym to celu dołączamy, dla ułatwienia łaskawego pośrednictwa, do każdego egzemplarza Nru 22go po dwa zwrotne listy.

Temi słowy poruczyliśmy już raz dalszy los czasowego pisma *Niewiasta* obywatelskiej dążności Zacnych Polek, teraz powtarzamy je znowu, ufni jeszcze, iż odezwy nasze przyjmą sercem Życzliwi naszemu pismu.

O WYCHOWANIU,

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Zob. Nr. 1, 2, 4, 7, 15 i 20).

Do języka wiążą się zwyczaje i obyczaje, któreśmy odziedziczyli po przodkach, i te w całości przechować świętym jest dla nas obowiązkiem: bo z niemi zbyt wiele się łączy.

Dziecię powinno wcześnie nasze poznać święta: W wigilią Bożego Narodzenia przypatrywać się słomie i sianu, które pod stół do wieczerzy nakryty kładą, ku przechowaniu *wielkiej* pamiątki; łamać sie opłatkiem z domownikami, powtarzając ochoczo *Do siego roku*, czyli *do wsiego roku*. A obowiązkiem jest ojca i matki, by dziecięciu te wszystkie wigilijne wytłómaczyć obrzędy, i na *jakich* to one opierają się tradycyach. Dziecię zapewne całem pochwyci je serduszkiem — i na całą zapamięta przyszłość.

Święto *Młodzianek ś.*, kiedyś w dawnej Polsce obchodzone, niechaj dla dzieci obojętnem nie będzie, boć to jest ich święto.

Uroczystość ś. Trzech Króli — wraz z królem migdałowym, jako obyczaj dawny; zapusty, popielec; niedziela palmowa — a przedewszystkiem też *wielki tydzień*, niechaj dziecku o dniach tych i na póżniejsze lata nie zatarte pozostawi wspomnienie — boć i to jest z domu rodzinnego spuścizna — a spuścizna błogosławiona. Niechaj zapamięta wielko-czwartkowe nabożeństwo, jak to królowie nasi szpitalnym dziadkom umywali nogi, i jak to dzisiaj jeszcze w religijnej pokorze czynią arcybiskupi. Niechaj w wielki piątek rychło z łóżeczka ucieka i drugie zbudzi rodzeństwo, wołając: *za Boże rany!* Niechaj ukocha patryarchalność świąt wielkanocnych, i z radością święconem dzieli się jajkiem. O *dyngusie*, *szmigusie*, pewnie nie przepomni, i to jest przedawna zabawka, byle tylko pomiarkowanie i względność przy tem zachować.

Zesłanie Ducha ś. — *zielone świątki*, po uroczystości kościelnej, rozkoszne nastręcza *majówki*. Należy zebrać dziatwę wiejską i pójść z nią pospołu do lasu, przy śpiewkach i różnych wesołych odgłosach. Dziatwa w lesie — a cudnie bywa tam w maju — niechaj sobie poskacze, niechaj w gry zabawi się ochoczo, wszystko to kształci serce i staje się ogniwem do wielkiej narodowej rodziny.

Nadejdzie *Boże Ciało* i wicie wianeczków według dawnego obrzędu. Dzieci, o ile mogą, niechaj do nich zioła i kwiatki zbierają, składają je dla matki, ciotki, albo starszej siostrzyczki, jeżeli wianeczków same jeszcze wiązać nie umieją. A ucieszą się nie mało, gdy pracę swoją w kościele zobaczą, i gdy kapłan wianki i zioła poświęca. Powinny także pięknych, kościelnych nauczyć się pieśni, i w czasie procesyi łączyć głosik swój z drugiemi, gdy zabrzmi: *Tobie cześć, chwała!*

Kapłan, udzielający naukę religii, wytłómaczy im tę uroczystość wielkiego znaczenia.

W wigilią ś. Jana zapalają na wielu miejscach *Sobótki*, i rzucają wianki na gałęzie lub też na bieżącą wodę. Zabawki to jeszcze z czasów pogańskich, a przechowały

się w narodzie, i jako takie poznać je należy. Bo wszakżeż i poeci nasi nieraz o tych wspominają obrzędach.

Wyższego od takich pamiątek, a raczej ważnego nader znaczenia są rocznice wszelkich wypadków dziejowych. Należy się wskazać je dzieciom, zbudzić dla nich cześć i poszanowanie w młodziutkich sercach — a potem już i same o nich pamiętać będą.

Wielce zajmującą jest rzeczą, a zarazem i nie zjednego względu korzystną, jeżeli w bliskości, choćby i o mil parę, znajdują się miejsca w jakie tradycyjne pamiątki bogate. Odwiedzenie ich, powtórzenie tradycyi, poczynione uwagi, wrażą się zapewne w umysł młody, i na rozwój jego wpłyną. Jakżeż radośnie młode uderzą serduszka, gdy zamiar takiej zrzeczywistni się przejażdżki. Z jakiemż zajęciem potrzebne do podróży odbywają się przybory! Potem wychylają się główki z powozu, rychło tam owo ciekawe ukaże się miejsce, i fantazya rozwija swoje poetyczne loty; uprzytomniają się dawne wspomnienia i podania dziejowe — i błogie pozostanie wrażenie. A w końcu jeszcze, jakiż to piękny przedmiot do wypracowania piśmiennego taka nastręcza pielgrzymka.

Niektóre ziemie polskie są nader ubogie w takie spuścizny. Ale znajdzie się zawsze miejsce urodzenia którego ze wsławionych w kraju mężów; wreszcie jakiego szlachetnego, poczciwego, dobrego człowieka — a Goethe wyrzekł: „Miejsce po którem dobry człowiek chodził, na wieczne czasy poświęconem zostało.“ Znajdzie się w okolicy klasztór dawny, kościół z obrazem cudami słynącym, jaki ogród piękny, nakoniec okop szwedzki, albo tak zwane *żale*. Wszędzie są pamiątki z przeszłości — chciejmy je tylko odgrzebać.

Pogadanki moje o wychowaniu są uwagi tylko: wskazówki lekkie, pochwytane w zapatrywaniu się życzliwem na społeczność naszą — a od matek i osób trudniących się wychowaniem panienek zależy, by je rozprzestrzenić i zastósować praktycznie, względnie do stósunków i okoliczności.

Różne stopnie poświęcenia,

przez

Karola Dra Libelta,

Autora „Dziewicy Orleańskiej“ i wielu innych znakomitych dzieł.

(Ciąg dalszy).

III.

Poświęcić się komu, gdyby to tyle znaczyć miało, co poświęcić swoją osobę drugiej innej osobie, poświęcić siebie jako istotę ludzką drugiej istocie ludzkiej, byłoby bałwochwalstwem. Człowiek siebie człowiekowi, by też najwyżej postawionemu, nie może dać na całopalną ofiarę, bo obaj są stworzeni na obraz i podobieństwo Boga, i dla tego jako duchowe istoty sobie równie i w równych do Stwórcy obowiązkach. Wyobrażenie takiego poświęcenia się mogłoby tylko zachodzić między niewolnikami a panem, gdyby tamten rzeczywiście wierzył, że pan jego w obliczu Stwórcy jest wyższą od niego duchową istotą; mogło tylko zachodzić w czasach pogańskich, gdzie Cezarom jako Bogom cześć boską oddawano i stawiano im świątynie; może zachodzić i teraz jeszcze, gdy kto słabej wiary w Boga, w obliczu jakiegobądź ziemskiego majestatu, korzy się przed nim i upada, cześć więcej niż boską mu oddając. Atoli język nasz takiego bałwochwalnego wyobrażenia nie uświęcił. Używa tego sposobu mówienia (poświęcić się komu) tylko gdy jest mowa o Bogu i o istotach świętych w niebiesiech, gdy chce wyrazić że człowiek całą istotę swoją, wszystek żywot swój oddał Bogu w ofierze, zrywając ze światem i jego stósunkami. W tem rozumieniu pustelnicy i zakonnicy poświęcali się Bogu.

Insza jest rzecz poświęcać się czemu, a więc np. umiejętności, piśmiennictwu, rzemiosłu, sztukom pięknym, nauczycielstwu — w ogóle zawodowi jakiemu. Poświęcenie się w tem znaczeniu jest pracą, a praca przeznaczeniem człowieka, raz ku utrzymaniu ludzkości, powtóre ku spełnieniu celów, jej przez Opatrzność wytkniętych. Zawody wszelakie są więc tyloliczne drogi, po których gromadnie zdążamy naprzód na wielkim gościńcu postępu dziejowego, i niepodobna człowiekowi społecznemu stanąć po za temi drogami i iść osobnym dla siebie manowcem; są różnobarwne i różnosilne światła, z których się układa jasne jednolite światło cywilizacyi, przyświecające rodzajowi ludzkiemu przez wieki i narody, i niepodobna jednostce społecznej nie być tego światła choćby jedną iskierką; — są to wreszcie wielkie pędowe i obrotowe koła w olbrzymiej maszynie społecznej, wyrabiającej pracą wieków i pracą milionów równie olbrzymie dzieła społeczne, gdzie każdy człowiek jest jednym czynnikiem, mniej więcej w obrot całości wnikającym.

Zawody, mechanicznie rzecz biorąc, są podziały pracy; duchowo ją uważając, są rozliczną służbą Bożą w wielkiej świątyni ducha nieskończonego, objawiającego się w ludzkości, gdzie każdy przeznaczenie żywota swojego spełnia, poświęcając się tej służbie. To też, gdy takie wzniosłe jest znaczenie zawodu, podziwiać trzeba filozofią języka naszego, który tu, poświęcenia się, a zatem zupełnej ofiary całkowitego życia żąda. Zaprawdę, by zawodowi jakiemu, któremu się poświęcamy, godnie odpowiedzieć, trzeba mu pracę całego życia swego poświęcić, wszystkiemi środkami rozumu i serca z nim się połączyć, tak aby zawód we mnie, a ja w nim był reprezentowany, i aby z nieustannym poglądem na ogół oświaty, najściślejszy zachodził związek między jednym i drugim.

Nie możemy wchodzić w rozbiór szczegółowych zawodów, by wykazać potrzebę i konieczność takiego poświęcenia się. To pewna, że go wymaga nie tylko co dopiero skreślone przez nas znaczenie każdego zawodu, ale i jego obszar, na jaki od tylu wieków i przez tylu pracowników się rozrósł; a nareszcie i obowiązek względem siebie, społeczności i kraju, który tylko na tej drodze w zupełności spełnionym być może. Niechby młodzież szczególniej o tem pamiętała, by się do przyszłego zawodu, jaki sobie obierze, niezmordowaną pracą należycie przysposobiła; niechby pamiętali dojrzali wiekiem, co już są pracownikami w pewnym zawodzie, że nie tylko szczęście społeczne, byt dobry kraju, ale i losy narodu, od tego zależą, czy z poświęceniem się obowiązki swoje wypełniają, boć oni są obecnie społecznością, oni krajem, oni narodem; ich poświęcenie się, jest poświęcenie się samego narodu; ich moc i siła jest kraju moc i siła, ich dobro społeczności dobro.

Zawody są rozliczne, atoli wszystkie mają jeden cel, i dążyć do niego powinny, to jest: utrzymanie, ulepszenie i uszczęśliwienie rodzaju ludzkiego, „aby się działa wola Boża jako w niebie jak i na ziemi.“ Pracować w tej myśli i w tym celu w jakimbądźkolwiek zawodzie, jest zaiste pięknem, wielkiem i świętem zadaniem poświęcenia się. *(C. d. n.)*

MARYNA MNISZCHÓWNA.

(Dalszy ciąg).

XIX.

Zaopatrzeni w wyżej wzmiankowane instrukcye posłowie królewscy: Stanisław Stadnicki kasztelan przemyski, Krzysztof Zborowski starosta krzemieniecki, Janusz Skumin, Tyszkiewicz pisarz w. litewski, Stanisław Domarecki podstoli lwowski, i Marcin Kazanowski pułkownik husarski, ruszyli do obozu Dymitrowego w poczcie kilkuset kopijników i 280 piechoty. Zbliżających się do Tuszyna, powitał piękną mową Aleksander Zborowski, który z 200 husarzami wyjechał przed nich z obozu. Bliżej zaś obozu witali ich książę Różyński, najwyższy wódz Dymitra i Mniszech starosta sanocki; a przed obozem przyjęli ich wysłani oratorowie przez Dymitra, Iwan Pleszejew i Fiedko Unikow. Samozwaniec z Maryną patrzyli się tylko z okna, nie spuszczając ich z oka, aż stanęli w domu księcia Różyńskiego. Pominąwszy Dymitra, jako im w instrukcyi wyrażono, zebrali się posłowie w kole wojskowem, i tam cel swojej podróży wyjawili. Długie trwały spory między posłami z jednej i drugiej strony. Ci, którzy będąc pod Dymitrem, dobro Rzeczypospolitej mieli na sercu, zgodzili się od razu na wszystko, co tylko posłowie królewscy orzekli; ci zaś którzy dla tego tylko na moskiewskich przebywali rozkazach, aby później wzbogacić się i napełnić swe kieszenie łupami prawych czy nieprawych zdobyczy, ci wbrew woli króla i dobru rzeczypospolitej robili różne i niepodobne do spełnienia warunki posłom królewskim, żądając przedewszystkiem, aby Zygmunt III z Siewierszczyzny ustąpił, gdyż ta ziemia obiecaną im była w nagrodę za usługi i trudy wojenne. Przystawali inni zresztą na to, aby król wziął Smoleńsk i Siewierz, lecz aby sobie odszedł spokojnie do Polski, wojska zaś swoje z ich wojskami dla podbicia całego państwa połączył. Posłowie jednakże królewscy w odpowiedzi na to dziwaczne żądanie, zaczęli ich przekonywać o dążności króla, i udało się im wcale, wielu bardzo dotąd przeciwnych ku sobie nakłonić. „Najgorliwiej Krzysztof Zborowski wspierał w tej mierze usiłowania posłów, już to namową i wzięciem swojem, już hojnie sypanemi między żołnierstwo darami.“ Dokonawszy w ten sposób ułagodzeniem Polaków pół dzieła, zwrócili się posłowie do Moskwy. W tem najlepiej powiodło się im z duchowieństwem, któremu Zygmunt III wszystkie swobody religijne zaręczał, i którzy też dla tego, pod wodzą Filoreta metropolity rostowskiego, z rozrzewnieniem i ze łzami radości w oczach, zupełnie zdali się na łaskę króla polskiego. „Podawali sobie jedni drugim listy królewskie, przyciskali do ust, do serca podpis ręki Zygmunta. Niechże najwyższemu Bogu cześć i chwała oddanemi będą, wołali, że natchnął najlepszego króla, chęcią położenia końca długim nędzom i uciskom naszym. O nic go więcej nie prosim, tylko by nam zachował błahoczesną wiarę naszą, nasze monastery i naszych świętych.“ Z Szujskim nie powiodło się posłom królewskim. Ten bowiem nie tylko na listy Zygmunta III żadnej nie dał odpowiedzi, ale jeszcze prócz tego wiele innych listów królewskich do duchowieństwa i bojarów przejął i poniszczył, szerząc nadto między swemi wieśći, jakoby Zygmunt najechał Moskwę tylko dla tego, aby grecką obalić wiarę, i obyczaje zaprowadzić nowe. Nakazał też jak najsurowiej przeglądać kieszenie przybywających, aby przeszkodzić wszelkim korespondencyom ze stronami sobie nieprzyjacielskiemi. Lecz ani ta, ani żadna ostrożność nie była Szujskiemu korzystną, gdyż poddani jego coraz nieprzyjaźniejszemi stawali się dla niego. „Możni nienawidzili go przez zazdrość, lud dla okrucieństw, podstępów, obłudy“ — i burzył się dla tego często; w samej stolicy wybuchały częste bunty, dawały się słyszeć głosy pod samym Kremlinem wołające o zgodę z posłami polskiemi. Sprzyjało więc wszystko sprawie posłów, i gdyby Zygmunt III umiał korzystać z nadarzających się sposobności, byłby niezawodnie z wielką łatwością i Moskwę i tron jej zdobył. Dymitr bowiem widząc, że i Moskale i Polacy zupełnie odstępują od niego, i wypowiadają mu posłuszeństwo, lękając się nawet o bezpieczeństwo swej osoby, nie powierzywszy zamiarów swoich ani żonie, w nocy z małym pocztem wiernych Moskali i Dońców uciekł z tuszyńskiego obozu do Kaługi. „Carowa zaś, jakto w liście księcia Różyńskiego do króla pisanym czytamy, ubrawszy się w męzkie odzienie, z jedną służebną tylko a chłopcem wybieżawszy, zbłądziła i do Dymitrowa zajechała.“

Usilnością przeto i gorliwem zajęciem się sprawą Zygmunta i Polski, dokazali posłowie bardzo wiele w obozie Dymitra. Jednej tylko rzeczy dokonać nie mogli, tj. nie mogli przekonać Maryny o jej daremnych usiłowaniach, powrócenia na tron carski, które to usiłowania ze szkodą Polski były prowadzone. Opanowana już zupełnie dumą Maryna, słyszeć nie chciała żadnych propozycyj odstąpienia od przedsięwziętego dzieła. Napróżno niektórzy jej krewni pisali do niej przyjacielskie i życzliwe listy, niczyjej rady nie słuchała, jedynym jej władzcą któremu wierzyła, któremu ufała — była duma. Stadnicki kasztelan przemyski, jeden z najbliższych jej krewnych, upominał ją w liście do niej pisanym, prawdziwie po ojcowsku, nie pisząc już jako do carowej, ale jako do swej krewnej wojewodzianki sandomierskiej. Maryna odpisała mu na to w tych słowach: „Miłe mi są uprzejme chęci waszmości, jako pochodzące od osoby tak ściśle krwią ze mną połączonej. Ufam ja w tym Bogu, który jest mścicielem krzywd a niewinności obrońcą, iż nie dozwoli aby nieprzyjaciel mój Szujski cieszył się dłużej owocem zdrad i zbrodni swoich.“ Uraziło ją jednakże, iż Stadnicki w liście nie wyraził wszystkich jej należnych tytułów jako carowej, to też nagradzając sobie ten uszczerbek honoru, w odpisie swym zapisała całą kartę temi niezliczonemi tytułami, które monarchowie moskiewscy brać zwykli. Na końcu listu podpisawszy się: *Maryna carowa moskiewska*, te jeszcze słowa własną ręką dodała: „Pamiętaj waszmość, iż kogo Bóg raz blaskiem majestatu oświeci, ten nigdy blasku tego nie strada, ani słońce jasności swojej nie traci dla tego, że przemijająca chmura zaćmi je czasem.“

Oto próbka urażonej dumy, której czczych nie oddano tytułów! Trudno więc było posłom królewskim wpłynąć na tak upartą kobietę; nie dziwota też, iż wszystkie ich usiłowania w tym względzie udaremnionemi zostały. Zrobiwszy jednakże to, co mogli, i zrobiwszy dosyć, powrócili do króla. Niecierpliwie oczekiwany ten ich powrót, sprawił nie małą radość, skoro się przekonano, iż pod Dymitrem zostający nie tylko Polacy, ale i Moskale z królem razem trzymają. Radość tę powiększyło wkrótce za królewskiemi posłami przybyłe poselstwo delegowanych moskiewskich, na czele których stał Michał Sołtykow. Tych posłów przyjęto okazale; król zasiadł na tronie, a oni w mowach swoich cześć Polsce oddając, wyrażali całej Moskwy życzenie, iżby im Władysław Zygmuntowicz carował. Przedkładali przytem warunki swoje, a te mianowicie odnosiły się do zachowania wiary błahoczesnej. Odpowiedział na to Sapieha od tronu, wyrażając zadowolenie króla. Wkrótce przed

senatem posłowie moskiewscy obszerniej swoje życzenia przedłożyli, wystawiając bardzo wiele trwałych korzyści dla obu narodów, a na to odebrali odpowiedź, nad którą długo i rozważnie król z senatem obradował. W odpowiedzi tej wyrażono, że nie jest wprawdzie króla zamiarem podbicie państwa moskiewskiego, lecz „że atoli stany tak gorąco życzą sobie królewicza Władysława za pana, jeżeli taka będzie wola Najwyższego, jeżeli naród powszechnie zgodzi się na to, rozpędzone zostaną wiszące nad państwem chmury, i pogodniejsze chwile rozjaśnieją nad niem, wtenczas król jmść chętnie się przychyli do życzeń moskiewskiego narodu.“ Odpowiedź tę przyjęto z radością, silnie nagląc o ułożenie artykułów, podług których królewicz Władysław miał objąć rządy Moskwy. W tych artykułach chodziło przedewszystkiem o to, aby królewicz wyrzekł się wiary rzymsko-katolickiej, i żeby był przez patryarchę koronowany. Na to odpowiedź króla, dość zręcznie i oględnie ułożona, ze łzami radości przyjętą została. Coraz bardziej skłaniający się ku królowi posłowie moskiewscy, zupełnie już zniewoleni zostali zaproszeniem do stołu królewskiego i na wspaniałe uczty Żółkiewskiego, Lwa Sapiehy i innych przedniejszych panów polskich. Wpływ tej uprzejmości i gościnności Polaków, z jaką posłów podejmowali, był bardzo zbawienny; posłowie bowiem rozpisywali listy po kraju, wynosząc pod niebo uprzejmość i łaskawość króla, gościnność Polaków, zachęcając ziomków „by się starali coprędzej przejść pod berło królewicza i zbratnić się z polskim narodem.“

Skutkiem tego wpływu było też przybycie nowej delegacyi moskiewskiej, w towarzystwie szesnastu dumnych bojarów, poddającej królowi wiele zamków i grodów. Uparty tylko Smoleńsk, którego Zygmunt daremnie zdobyć się silił, nie poddał się i teraz. Już delegacya moskiewska zabierała się do powrotu, gdy deputowani od wojsk naszych pod Moskwą leżących, przypominając im zawarte ugody, podług których wspólnie czynić i wspierać się byli powinni, znaglili ich do żądania jeszcze jednej ostatecznej i stanowczej odpowiedzi królewskiej. W skutek tego ponowiono domagania warunków umowy i żądano od króla, aby zapewnione umową ślubną carowej Marynie niektóre zamki i włości oddał w dzierżenie. Były też domagania się o udzielenie jednego z największych księstw i inne a nowe żądania. W odpowiedzi na to, król ile możności zaspokoił umysły posłów, lubo wszystkie te warunki i wymagania, zbytecznym mu już stawały się ciężarem.

XX.

W tuszyńskim obozie zamieszanie i rozruch. Wierni Dymitrowi, a raczej stali w chciwości pozyskania nagród przyobiecanych, zaczęli głosić o zdradzie, zaczęli wyrzucać sobie, iż się dali uwieść posłom królewskim. W Kałudze zostający Dymitr nie przestając jednakże działać, wysyłał ciągle swoich popleczników do obozu w Tuszynie, aby uspokojone namowami posłów królewskich umysły, na nowo rozjątrzyć. Silniej jednakże od wysłańców i podżegaczów Dymitrowych wichrzyła obóz cały „sztuczna i śmiała Maryna“. Podżegana przez ojca, znęcona prócz tego blaskiem korony carskiej, poświęciła się na wszystko, aby tylko powrócić na tron. Więc „blada, z rozpuszczonemi włosami, ze łzami w oczach, obchodziła namioty wojskowych, wołając po imieniu znajomych, nie szczędząc niewieścich przymileń, darów i hojnych obietnic; błagała, zaklinała, by tyle łask od Dymitra doznawszy, pewni hojniejszych wkrótce, nie opuszczali go w tak ciężkim razie, i niezwłocznie z nim się łączyli.“ Skutkiem tej tragiczno-teatralnej sceny, było ogromne zamieszanie w obozie; łzy i prośby pięknej i wymownej kobiety, to najlepszy podobno bodziec do rozjątrzenia umysłów. Więc też zaraz oddział dońskich kozaków, wypowiada swym assawułom posłuszeństwo, i gromadzi się w szyki, rozwija chorągwie, i śród dnia, w obliczu obozu całego ciągnie drogą do Kaługi, by się z Dymitrem połączyć. Hetman ich Zarucki, „Wołynianin, który przez wzięcie od Tatar z Podola, dostał się do Moskwy, i tam wsławiwszy się mężem dobrym, przyjechał też do carzyka, a mając w zleceniu u siebie pułk niemały Moskwy od carzyka, posługę wielką mu czynił“ *), ten tedy Zarucki przybiega do księcia Różyńskiego, który się nie dał obałamucić ni rozczulić łzami Maryny, i donosi mu, że wszystkie starania jego zatrzymania burzliwych były daremne. „Różyński zapalony zniewagą na podobne zuchwalstwo, rozkazuje uderzyć w trąby, bierze pułk pancernych, puszcza się w pogoń, dopędza, i wysiekłszy do dwóch tysięcy kozaków, znaczniejszą ich część do obozu swego odsyła; nie wielka tylko liczba do Dymitra uciec zdążyła“. Maryna wiedząc o tem wszystkiem, rada iż odegrana przez nią rola zbawienny wpływ w obozie wywarła, chcąc jeszcze większym efektem rozjątrzyć umysły przychylnych, wśród głuchej nocy, wdziewa na się ubiór żołnierski, przewiesza na plecy sajdak i kołczan z strzałami, w towarzystwie dwóch tylko panien Polek, w najtęższy mróz wsiada na koń i puszcza się do Kaługi, w obozie zaś, w swojem mieszkaniu zostawia list własną ręką do rycerstwa polskiego pisany. List ten pełen dumy niegodnej serca polskiego, przytaczamy tu w całości: „Bez rodziców, bez powinnych, bez krwie, przyjaciela i opieki, acz sama jedna pozostała, z żalem tylko i strapieniem mojem, nie mogę już sobie tak okrutną być, bym ostatecznego obelżenia mego (od tych samych, którymby opieka o mnie i obrona powinnie należeć miały) chronić się, i o sobie radzić nie miała. Żalu jest pełne serce moje, że i na uczciwą sławę, i na dostojność od Boga mi daną, następują niegodni oszczerce przy kuflu i biesiadach, równając mię z wszetecznicami, czarne zdrady i spiski knowając na mnie. Nie dajże Boże, aby kto miał o mnie targować, przemyśliwając, jakby mię wydać temu, który ani do mnie, ani do państwa mego żadnego prawa nie ma. Prześladowana, zagrożona zewsząd, z tem się przed Bogiem oświadczam, iż przy obronie sławy, uczciwości i dostojności mojej wiecznie trwać będę, i że raz będąc panią tylu narodów, carową moskiewską, wracać się do stanu szlachcianki polskiej i poddanki nie mogę, ani nigdy nie zechcę. Poruczywszy więc sławę i obronę moją dzielnemu rycerstwu polskiemu, ufna, że to szlachetne rycerstwo pamiętać będzie na swoje przysięgi, na wdzięczność i dary, jakie je czekają odemnie, odjeżdżam. 16go lutego 1610 roku.“

Maryna
carowa moskiewska.

Efekt został osiągnięty. Rozjątrzone żołdactwo ubolewając nad dolą swojej carycy, straszenmi wyrzuty obrzucało księcia Różyńskiego, zowiąc go „niegodnym zbiegiem i zaprzedanym królowi, zmiennikiem.“ Napróżno dzielny Różyński powagą swoją zbuntowane wojsko pragnął uśmierzyć, nie słuchano go już, jawnie wypowiadając mu posłuszeństwo. Jedynym tylko środkiem chwilowego uspokojenia umysłów było ze strony posłów zapewnienie, że król wkrótce przyobiecane pieniądze nadeśle. Wysłali zaś równocześnie posłów Komorowskiego i Obolkowskiego do króla, którzy donieść mieli, na

*) Maskiewicz.

jak straszny bunt w obozie się zanosi, że wielu żołnierzy sprzyja znowu Dymitrowi, że Dymitr zebrał już 80,000 złotych, i że mu łacno więcej jeszcze zebrać, że wojsko szemrze na króla za niedotrzymanie obietnic. Sapieha zaś w liście do króla pisanym, przestrzega go, że wojsko o niczem nie mówi, jeno o pieniądzach, bez których nadesłania trudno je w karności utrzymać. Lecz Zygmunt, lekceważąc sobie wszystko, i zawsze złych rad słuchając, nie postąpił sobie jak należało, nie posłał pieniędzy, mniej z przyczyny niedostatku, aniżeli z uporczywego obstawania przy swojem. I zaszkodził tem sprawie całej wielce, gdyż posłaniem pewnej sumy pieniędzy byłby wojsko uspokoił, i może szczęśliwie wojnę tę zakończył. Ale tak robił z pieniędzmi, jak i z decyzyą wysłania Władysława. Ile na tem traciła Polska, zapewne tego przeczuć, ni rozumieć nie chciał, czy nie umiał. Potrzeba także było niezwłocznie wysłać posiłki wojenne pod stolicę moskiewską, zkąd Skopin, hetman Szujskiego, Sapiehę ściśnionego niedostatkiem żywności, wysączył; lecz przeznaczony na tę wyprawę Jan Potocki, wojewoda bracławski, zwłóczył do ostatniego swój pochód. Te zawody i zwłoki jątrząc bardziej rozdrażnione już wojsko, dawały Skopinowi czas do wzmacniania coraz bardziej swych sił. Nie omieszkał też Skopin korzystać ze sposobności. Sapiehę, który dotąd był postrachem nieprzyjaciela, tak obsaczył, iż go zmusił do wysadzenia prochem wszystkich blankietów i baszt, i do ucieczki do Kaługi.

Książę Różyński niesforności i bezkarnością nękany musiał także cofnąć się ze stanowiska i tyle jeszcze zrobił, że porozstawiawszy pułki w Osipowie, Mozajsku i Rzowie, Smoleńsk od nieprzyjaciela zasłonił. Po tym czynie, który temu walecznemu wodzowi nie małą zjednał sławę, książę Różyński „złamany trudami, do głębi serca strapiony i buntami wojska i opieszałością króla, umarł 8go kwietnia 1610 w 35 roku życia swego". Po jego śmierci, wojsko które go przecież opłakiwało, poczęło się rozchodzić z obozu; jedni poszli za Samozwańcem, inni za królem. Do króla przyłączyło się zaraz 6 chorągwi Zborowskiego, cały pułk Młockiego, husarze księcia Różyńskiego, Wilamowskiego, Lanckorońskiego, Wilkowskiego, Rosickiego, Marchockiego i Bobowskiego część znaczna. Rozproszył się więc cały prawie obóz tuszyński i wszystko wojsko Dymitrowe. Sapieha tylko, starosta uświacki, przyłączył się do Dymitra, lecz nie przez przychylność dla oszusta, ale z powodu umowy z królem, aby pomagając niby oszustowi, Szujskiego miał bliżej na oku *).

(D. c. n.).

ZACHÓD.

Krwawe niebo: a cudne jak śmierć z poświęcenia...
Serce rwie się do niego, jak do matki dziecię,
Rzewnie w osieroconym po swem słońcu świecie,
Strasznie, jakby się lękał własnego sumienia.

Rzewność, bojaźń na ciemnym ziemi drżą szkielecie,
Życie w śmierć, radość w smutek czarny się przemienia,
Z żalu po tym zachodzie ni łzy rozrzewnienia,
Ni blasku uczuć w ciemnem oku nie znajdziecie.

*) Naruszewicz, żywot J. K. Chodkiewicza.

Zachód! i długoż tego? wszak znów wznijdzie słońce?..
Po nocy ciemnych myśli, po snach gorączkowych
Znowu zabłyśnie światło świecące, grzejące?...

O! długo... długo... Nocy takich obozowych
Mieliśmy już w tem życiu okropnem — tysiące...
Przedświt, wschód były blade... czekamy słońc nowych....

J. K. Turski.

PROTEKCYA I INTRYGI,

USTĘP z ŻYCIA ZNAKOMITEGO

RZEŹBIARZA

w Polsce z wieku XV.

(Ciąg dalszy).

VII.

Zofia w samotności.

Po ostatniej rozmowie z ojcem, w której łaskawe czytelniczki poznały może piękną jej duszę i szlachetne serce, powróciła Zosieńka do swego pokoiku, i oddała się swojej zwykłej robocie na krosienkach. Zdawaćby się może komuś mogło, coby i z rozmowy jej z Witem, i z rozmowy z ojcem późniejszej odgadywać było wolno, że Zofii serce zbyt prędko zajęło się gienialną duszą artysty! Bywać to, bo bywa nie raz w życiu: jedna chwila rozmowy i wejrzenia stanowi nie raz o całej przyszłości, i jest jej podstawą i zawiązkiem. Z Zofią jednakże, o czem nasze czytelniczki upewnić możemy, nie stało się tak. Dobre jej i dla bliźnich wylane serce, obdarzyło braterskiem spółczuciem młodego człowieka, a że Zosia nie znała światowych wykrętów, nie umiała też ukrywać swego uczucia, i skoro widziała przed sobą człowieka, którego charakter i naukę poznała, którego uznała godnym swego szacunku i czci, nie pomyślała ani na chwilę o tem, iżby ktoś z jej obejścia się z Witem, o czemś innem przypuszczał. Nie czasy też to dzisiejsze; panienki wtedy nieznały jeszcze konkietowania sobą nowo poznawanych mężczyzn, nie znały tysiąca tych zgubnych i potępienia godnych książek, któremi Francya zarazę zepsucia moralnego rozsiała po Europie. Dziewoja w owych czasach żyjąca, choć także nie była to najświetniejsza moralności epoka, odznaczała się pracą i domowem zajęciem, gospodarstwem i pobożnością.

Mnóstwo kościelnych kosztowności, bądź w skarbcach, bądź w zakrystyach przechowanych z owych czasów, świadczy o zadziwiającej dzisiaj, i niezwykłej zapewne staranności i cierpliwości, z jaką nasze pobożne matrony i panny roboty one na ofiarę kościołowi wyrabiały. A na wyprawy wojenne ileż to pięknych podarków brała młódź nasza dziarska od dziewcząt, a pod takim podarkiem młodzieńcowi, to i serce mężniej uderzało, i animusz gorętszy prowadził go do boju. Oj, dobre to były jeszcze czasy! Bo chociaż poprzednio spomnieliśmy o upadku narodowej wielkości za tych czasów, to przecież naród z tego upadku rychło się dźwignąć jakoś umiał, i przejrzał się w zwierciedle złego, i dobrego praktykę solennie przedsiębrał. Nie wiem czyby dzisiaj po złem, po upadku świetności i cnót, przybyło do nas tak snadno dobro: czybyśmy się zdołali otrząść tak od razu z grzechów naszej przeszłości, i czybyśmy zdolni nawet byli praktykować cnotę

ojców naszych. Doprawdy niewiem, szanowne czytelniczki, i dla tego proszę was o przebaczenie mi kilku naleciałych tu myśli, w niejakim przecież związku stojących z całem opowiadaniem.

O czemże tedy Zofia myślała, skoro jeszcze nie pokochała Wita. Nie mogła dumać o jego pięknych oczach, nie mogła rozkoszować się pięknemi jego wąsikami i bródką. Tyle jej brakło przedmiotów, o czemże więc myślała? Owóż myślała o świętej panience, jak ta najmiłościwsza Pani kochać ją będzie, kiedy jej zaniesie do kościoła na ofiarę ukończone firanki i obrus. Tem się cieszyła, śród modlitwy prześpiewywała sobie czasami jaką piękną piosenkę do Matki Boskiej — i tak jej było błogo, tak spokojnie, że samotność Zofii prawdziwie nazwać nam wypada rozkoszą jej duszy i serca. Czasem tylko, ale to bardzo rzadko, gdy w skutek dość częstych rozmów z matką, słyszała od niej, że będzie już czas jej pomyśleć o mężu, wyobrażała sobie tego przyszłego swojego: w żołnierskim stroju, z dzielnym kordem przy boku, z sercem pełnem męztwa i poświęcenia się dla ojczyzny, z duszą ognistą, pełną zapału i rezygnacyi. Taki był ideał jej marzeń, o takim czasem, choć bardzo rzadko myślała, taki się jej w snach i urojeniach przed oczami duszy ukazywał. Tu szanowne czytelniczki zechcą też dopiero zauważyć o ile wartości dodaje Zofii, ta właśnie co spomniana cnota. Zważywszy bowiem okoliczności życiu domowemu Wyrębskich towarzyszące, tem większą jej przyznać musimy zasługę, bo ona tę świętość jaką miała w sobie, tę świętość którą stworzyła sobie tak piękny ideał swych marzeń, miała sama z siebie: nikt jej tego nie wpajał, nikt przykładem ani słowem nie zapalał jej serca. Dla tego też wytłómaczyć sobie będzie można, czemu Zofia nie pokochała odrazu Wita. Widziała w nim rzeźbiarza, artystę, człowieka, który dla sztuki więcejby daleko poświęcił aniżeli dla ojczyzny, nie usłyszała z ust jego ani jednego słowa, któreby gorącą miłość ziemi rodzinnej zdradzało. My wiemy z naszej strony, iż Wit był dobrym Polakiem, lecz niezawodnie takim ideałem poświęcenia się dla dobra kraju, o jakim Zofia czasami marzyła, on nie był, on być może nie mógł... Należał on do tych ludzi, którzy jeszcze i dziś między nami starę zasady rozszerzając, rozdzielają duszę i serce człowieka na dwa obozy. Jeden obóz nazywają artystycznym, drugi politycznym; i mówią: kto do jednego z tych obozów się wpisze, wiernym mu winien pozostać aż do końca. Jeżeliś artystą, mówią, nie używaj sztuki, na której ołtarzu winieneś siebie poświęcić, za narzędzie polityki, bo tym sposobem zniżyłbyś sztukę swoją. Jeżeliś zasię wpisał się w obóz drugi, bądź mu wiernym, a o sztuce już ci nie marzyć. I takim dziwnym podziałem anatomicznym duszy, stawili w przeciwieństwie uczucia jednego natchnienia — nie umieli ich pogodzić tak, jak zgadzali je z sobą Grecy, którzy będąc najwyższemi kapłanami sztuki, byli przecież najwierniejszemi obrońcami ojczyzny. Zofia przeczuła w swem sercu ten rozdział powołania, a że u niej po Bogu ojczyzna była najwyższą świętością — więc też kapłanów tej ojczyzny, wiernych synów Polski, najwyżej ceniąc, uważała za ideał swojego świata duchowego. Wit za nadto oddanym był sztuce, on wpisał się w obóz artyzmu, dla niego zrobiłby z siebie więcej niż dla ojczyzny. Gdyby np. podczas tworzenia wielkiego arcydzieła usłyszał surmę wojenną, wzywającą braci w szeregi, ku obronie Polski przeciw jej najeźdźcom Tatarom lub Wołochom, wahałby się zapewne, ażali ma odrzucić z rąk swoich dłuto, i chwycić niemi za kord! Nie — nie zrobiłby tego, duch jego nie podniósłby się tak wysoko; porzuciwszy sztukę, wiem nawet iż zmarniałby zupełnie, i ani w jednym, ani w drugim obozie nie mógłby być przydatnym. Zofia więc w samotności nie myślała o nim, ona go wcale nie kochała.

VIII.

Inaczej z Witem.

Wit w swem mieszkaniu stawał tylko ciągle przed ołtarzem Zofii, tj. przed jej rzeźbą, powtarzał sobie jej słowa, spominał jej wzrok przenikający jego duszę do głębi, porównywał jej rzeczywistą piękność, z pięknością swego ideału, i wyrzucał sobie znowu, że ją o dużo słabiej przedstawił i przepraszał ją w duchu, że jej ubliżył. I zdawało się biednemu, że będzie już szczęśliwszy w tej miłości... Na duchu czuł się spokojniejszy, na sercu weselszy. Odwiedziny Fryderyka, który tegoż jeszcze dnia był drugi raz u niego, odbyły się ochoczo i wesoło. Minstrel śpiewał mu piosnki o Zofii, którym się rozkochany artysta z rozrzewnieniem przysłuchiwał. Już to przyznać należy Jego Ekscellencyi Prymasowi, że w piosnki swoje umiał bardzo wiele wdzięku i czaru ponawlewać. Serce dość czułe piosnki te gorąco przyjmowało, roztkliwiając się niemi i wieńcząc laurem łez skroń ich piewcy. Wita serce było miękkie, a że jeszcze właśnie znajdował się w usposobieniu anormalnem, bo w usposobieniu zakochanych, tem rzewniej każda nuta piosnki przyjaciela przypadała mu do duszy, tem prędzej przebaczyć mu nawet by można, gdyby się jak dziecko rozpłakał. Miłość uszlachetnia serce, sprowadza je do stanu niewinności, do pierwotnego stanu ślepej wiary i dziecięcej prostoty. Popatrzmy zimnem okiem na zakochanego, jakżeż się nieraz śmiesznym wydaje? A dla czego? Bo miłość cofnęła go lat kilka wstecz, rozebrała go z filuteryi i przebiegłości, natomiast ubierając w sukienkę naiwności. Tak też było z Witem. Niechaj to jednak nikogo nie zadziwia, że w owym nie romantycznym wcale wieku, mogli się znajdować już tacy rozromantyzowani kochankowie, jakim przedstawiamy tu nawet i Wita. Ktoby bowiem chciał badać historyę miłości od najdawniejszych jej czasów, tj. od czasów Adama i Ewy, przekonałby się niezawodnie, że to uczucie jest zawsze wszechmożnej potęgi, że go zwyciężyć ani rozumem, ani rozsądkiem nikt nie może. Kiedy jeszcze dodamy do tego, że Fryderyk minstrel, najromantyczniejszy ze wszystkich rycerz, któryby po rękawiczkę swej bohdanki, gdyby ją mógł mieć, skoczył pomiędzy rozwścieklonych tygrysów... ten Fryderyk rozpalał coraz bardziej i tak gorące i ogniste uczucie artysty — to i uwierzymy, że Wit w swej miłości był najzupełniejszym kochankiem z naszych czasów, zdolnym do płaczu i rozpaczy.

Minstrel dodawał Witowi coraz więcej wiary i nadziei, a kiedy dowiedział się od niego o wszystkiem, co z nim Zofia mówiła, jak go przyjęła, jak dłań była uprzejmą, zaręczył mu słowem honoru, że jest szczęśliwym w kochaniu, bo Zofia kocha go szalenie. Wierzyć w dobre dla serca przypuszczenia właściwą jest rzeczą człowieka. Choćby ci ktoś fałszywie rzecz jakąś przekładał, jeżeli w tem życzliwość jest na przedzie, jeżeli ona właśnie twemu życzeniu odpowiada, uwierzysz, najniezawodniej uwierzysz całem sercem. I Wit też wierzył już teraz w nadzieję swego szczęścia i prosił ciągle śpiewającego mu o miłości piosenkę minstrela, aby ją powtarzał. Minstrel był posłusznym jego prośbom i ciągle jedno i toż samo śpiewał. Wieczór spędzili do póżna na rozmowie, minstrel opowiadał swoje przygody, których Wit słuchał niecierpliwie... a gdy już póżno było w nocy, tajemni-

czy polski minezenger pożegnał rzeźbiarza i cichszemi ulicami przemknął się do swego domu.

Wit samotnie przemarzył jeszcze parę godzin, a zasnąwszy nie mógł zapomnieć o tak ważnym dla siebie dniu — dniu, który nazywał najszczęśliwszym ze wszystkich, bo i figlarz sen ukazywał mu piękną Zofię, i przemawiał jej usty do niego potwierdzenia wszystkiego, co sobie tylko artysta mógł uroić na jawie, ba nawet wróżąc mu i to, o czem jeszcze nie marzył. Szczęśliwy na jawie marzeniem, a we śnie złudą rzeczywistości — szczęśliwszym by może był o wiele, gdyby się nigdy ze snu swego nie obudził.

IX.

Biegli w sztuce.

Dni kilka upłynęło od wydarzeń początek naszego opowiadania stanowiących; w sercu Wita uczucie wzrastało gwałtownie, podsycane nadzieją własnych urojeń, i wiarą w otuchę podawaną coraz większemi dozami od serca przyjacielskiego minstrela. Z każdym więc dniem był weselszym, swobodniejszym, a że dusza jego ognista równie wrażenia smutne jak i wesołe przyjmowała w siebie, tym razem przeto ostatniemi przepełniona, usposabiała go najrozkoszniej.

Gdy więc pewnego dnia w samo południe właśnie w tak radośnem usposobieniu, jakąś małą, zwinnie i ochoczo wykończał robotę — zapukano niemieckim obyczajem do jego mieszkania.

— A kto tam? zawołał całym głosem.

— Ich, herr von Vit! była odpowiedź.

— Proszę! drzwi stoją otworem, każdemu wolny wstęp do mego domu.

Drzwi się otwarły i wszedł znajomy nam p. Johan Strengel. Wszedłszy podskoczył ku rzeźbiarzowi i ściskając go najserdeczniej za rękę, witał go przedstawiając się najuniżeniej.

— Jestem Jan Strengel, najuniżeńszy służka Waszmości Pana Dobrodzieja, adorator jego wysokich zdolności, amator sztuk pięknych i wyzwolonych, troszeńka znawca, a dzisiaj jeden z delegowanych do rozpoznania i oszacowania Waszmościnego ołtarza.

— Bardzo mię to cieszy, odrzekł Wit na te samozwańcze rekomendacye.

— Otóż, raczy Waszmość pan Wit pofatygować się z nami na miejsce, w którem się rzeczony ołtarz znajduje, tam albowiem czeka już na niego cała delegacya w sztuce biegłych, do której i ja nie chwalący się należę.

— Służę Waszmości panie Strenglu, rzekł wtedy Wit i wyprowadził go ku drzwiom, sam zaś wziąwszy na siebie swój ulubiony płaszczyk, pospieszył za odchodzącym.

Strengel ciągle myślał: aby się tylko udało. W rzeczy samej przed ołtarzem gapiła się już gromadka w sztuce biegłych, których Wit uprzejmie powitał:

— Więc raczycie przewielebni mężowie, mówił do nich, przyjrzeć się mojej pracy, i takową łaskawie ocenić?

— Tak, tak, będziemy rzecz sądzić sprawiedliwie, jako nam nakazuje prawo i nasz charakter w sztuce biegłych, odpowiedział Strengel.

Delegacya składała się z 6 osób. Pierwszeństwo między niemi trzymał pleban kościoła Panny Maryi, człowiek uczciwy, rodem Niemiec, Jorek Szwarc, po nim następował jego sekretarz, ksiądz, starowina, znany w całem mieście ze swej dobroduszności i łatwości w dawaniu rozgrzeszenia. Trzecią figurą był Jegomość pan Sturz, Niemiec, krewny podobnoś daleki pani Wyrębskiej, mistrz profesyi snycerskiej, którego największem arcydziełem był niezgrabny Pan Jezus, na uroczystość Zmartwychwstania stawiany na wielkim ołtarzu. Ten Pan Jezus, który po dziś dzień dochował się jako relikwia po panu Sturzu, miał brodę siwą; artysta tłómaczył się że dla tego ją taką zrobił, aby tem większą nadać powagę swemu utworowi. Hieronim i Antoni Kulnerowie, także obaj Niemcy, byli to nędzni malarze, dla tego ich zowię nędznemi, bo najczęściej nędzą tylko, tj. drżącem złotem malowali ołtarze do kościołów. Pan Johan Strengel nareszcie zamykał ten znakomity orszak znawców, jako amator i artysta z zamiłowania.

Kiedy Wit przed niemi stanął, i kiedy poznał wszystkich, co są zacz? na duchu musiał się zapewne rozśmiać, lecz i zabolało go zarazem, że jego dwunastoletnia praca takim ludziom pod sąd musi być wystawioną. Dwóch tylko księży szanował, lecz i o tych zdanie obawiał się bardzo, wiedział bowiem, iż przewielebny ksiądz pleban, a za nim ksiądz sekretarz to tylko orzekną, co im gremium właściwych znawców podyktuje.

— Przystąpmy więc do rzeczy, — zaintonował pan Strengel.

Wit odchylił zasłonę. Szmer mimowolnego podziwienia powitał arcydzieło. A gdy zmiarkowawszy się znawcy poskromili swoje przedwczesne uniesienie, nastąpiło milczenie głębokie, kilka minut trwające, podczas którego i ten i ów przygotowywał się do krytyki, ostrej i niepobłażającej. I byłoby to milczenie trwało bardzo długo, może do samego wieczora, gdyby nie wyższość ducha jednego Strengla, który najbystrzejszym zmysłem krytycznym obdarzony, pierwszy odezwał się w ten sens:

— No i cóż Waszmość Panowie? Słuchamy zdań; Illustrissime, zwracając się do ks. plebana mówił, wy to pierwszem zdaniem nas obdarzycie niezawodnie.

Illustrissimus patrzał się ciągle w ołtarz i kiwał głową, czy zaś w oznace chwalby czy ganby, tego niewiadomo; zdaje się, że według okoliczności.

Sturz robił ciągle lornetę z rąk swoich i przez nią patrzył się i patrzył — przekrzywiając głową na wszystkie strony.

— Jestto coś, wyrzekł nareszcie pierwszy znawca pan Hieronim, ale temu wiele jeszcze brakuje.

Wit zadrżał, krew w żyłach jego zawrzała, bo choć sam mógłby tak o swojem dziele powiedzieć, bolało go to bardzo, gdy zupełnie nieznający się na sztuce, tak lekkomyślnie zawyrokował. *(C. d. n).*

WYPRAWA
po guwernera i guwernantkę,

w 6ciu scenach
(podsłuchane).

(Ciąg dalszy).

Scena IIIcia

Pan Dyonizy *(w hotelu w Krakowie, później u Gustawa).*

Głos *(z za drzwi numeru pod którémi stoi p. Dyonizy).* Zapowiadam Waćpanu akuratniejsze wypełnienie moich zleceń.

P. Dyonizy. Spuść się na mnie kochanie, *(dzwoniąc).* Hej! panie Portier, jest tam gdzie Asan?

Portier *(przybiegając).* Do usług Pana Dobrodzieja, jestem.

P. Dyonizy. Oto jest kartka, wedle której nic nieopuszczając, umieścisz Asan pod właściwym numerem w spisie osób stojących tutaj i tę znakomitą damę, tylko jak najprędzej.

Portier *(czytając).* Pani Sewerynowa! znam ją doskonale, służyłem niegdyś u jej ojca — ale nieprzypominam sobie o takich tytułach, *(czytając jeszcze raz).* Pa-ni Se-we-ry-no-wa z hra-biów Mi-mi . . .

P. Dyonizy. *(przerywając).* Co tam Asan bedziesz sobie przypominał — masz tu na piwo i uczyń jak kazałem. Wszak ciebie to nie obchodzi.

Portier. Nie obchodzi i nie szkodzi, jeszcze dodam gdy co trzeba.

P. Dyonizy. Na dziś dosyć *(odchodzi).*

Portier *(do siebie).* Szkoda że też to takich coraz mniej na świecie, miałby człowiek obrywkę uczciwym sposobem, boć

wiem Boga nieobchodzi, z kogo się tam kto urodzi.

Gustaw (*witając P. Dyonizego*) I cóż to? Czy wypadek jaki? Czy zapomniawszy czego z drogi się wróciłeś, że znowu mam przyjemność powitania cię w moim domu?

P. Dyonizy. (*ściskając Gustawa*) Ej! gdzie tam kochany Gustawie — wszystko co przewidywałem, ziściło się na nasze nieszczęście, wybór nasz odrzuconym został; byłem właśnie w „Czasie" aby umieszczono inserat mający zaalarmować wszystkich bawiących w Krakowie Anglików i wszystkie Francuzki.

Gustaw (*śmiejąc się*). Biednyś mój Panie mężu! ale nierozpaczaj jeszcze, choć wyboru nieprzyjęła, jeszcze przyjąć może.

P. Dyonizy. Zdaje ci się Gustawie, daremne zabiegi.

Gustaw. To powiedzże mi czem ty jesteś? piątem kołem u wozu czy mężem, czy Bóg wie czem jeszcze innem, bo doprawdy twoja uległość wygląda na coś monstrualnego.

P. Dyonizy. Nie ty to pierwszy podobne robisz mi uwagi, sprzedałem się i na tem koniec.

Gustaw. Niemóważe głupstwa, bo doprawdy wziąłbym cię za dopiero wypuszczonego z domu waryatów. Jeśli ci tak bardzo chodzi o wygodny szlafrok i ciepły pokój, to możesz mieć to wszystko i u mnie bez najmniejszej z mojej strony pretensyi, zapomnij więc o sprzedaży, i zaprowadź mnie do twojej magnifiki, abym jej powiedział *verba veritatis*.

P. Dyonizy. Ale zmiłuj się Gustawie, ty jej nie znasz, to wszystko przysięgam napróżno; ty myślisz sobie, że to twoja poczciwa Jadwiga, któraby myśli twoje odgadywać pragnęła, która chociaż żadnego niewniosła ci posagu, a jednak uszczęśliwiła cię zupełnie, bo obok twojej pracy ty jesteś stokroć szczęśliwszym odemnie.

Gustaw. I ty nim być możesz, tylko pozwól mi działać — a zresztą, czy chcesz, czy niechcesz, co raz przedsięwziąłem tego dokonam.

P. Dyonizy. Może się separować! a ty wiesz, że ja już dzisiaj byłbym tylko ciężarem społeczeństwa.

Gustaw. Separacyi się nieobawiaj, a w najgorszym razie wszak ci już mój dom ofiarowałem.

P. Dyonizy. Nieskończenie jestem ci obowiązany, ale...

Gustaw. Nierozumiem żadnego ale, — niebądź obowiązanym, tylko czyń co ci zalecę: Najpierw przeżegnaj się i westchnij do Pana Boga, a może djabeł, który cię opętał, odczepi się od ciebie; bo już inaczej wnosić niemogę, jak żeś jest kuszony — a teraz przyrzeknij mi, że bez mojej obecności, żadnych z żoną konferencyj odbywać nie będziesz.

P. Dyonizy. (*z rezygnacyą*). Niech się dzieje wola Boża, ot ma ręka.

Gustaw. Brawo! brawo! bravissimo! teraz pewną mam otuchę, że zwycięztwo przy nas bracie!

Scena IVta.

Pani Sewerynowa, Pan Dyonizy, i Gustaw.

Gustaw (*do Dyonizego*). Przedstawże mnie twojej żonie.

P. Dyonizy (*pomieszany przedstawiając*). Pan Gustaw mój przyjaciel.

P. Sewerynowa. Wiele od męża mojego słyszałam o Panu.

Gustaw. Myślę, że wszystko było na moją korzyść, że nic złego niegłoszono o mnie.

P. Sewerynowa. I złe jest względnem; mieszanie się do cudzych spraw jest pewnego rodzaju natrętwem.

Gustaw. Przyjaźń a z nią życzliwość jaką mam dla męża Pani, nakazywała mi być natrętnym, chowaj mnie jednak Boże abym co czynię, czynił w złej myśli.

P. Sewerynowa. Innem być może przekonanie pańskie, ja zupełnie inaczej te rzeczy pojmuję.

Gustaw. Nietając się, wyznam Pani Dobrodziejce, że wedle mego przekonania: powinnością jest każdego człowieka, złemu o ile możności zapobiegać, nie obwijając w bawełnę — mąż nawet Pani Dobrodziejki podziela moje przekonanie...

P. Sewerynowa (*przerywając*). Mój mąż nigdy innych niemiał odemnie.

Gustaw. Mógł ich nabyć.

P. Sewerynowa (*spoglądając surowo na męża*). Śmiem temu zaprzeczyć.

P. Dyonizy. Niezaprzeczaj Sewerciu — powiadam i to stanowczo, że nie tylko Anglika ale i Francuzkę za drzwi wyrzucę.

P. Sewerynowa (*tupnąwszy nóżką*). I cóż to słyszę?

P. Dyonizy. Zapewne że to dla ciebie nowością — otwarły mi się oczy.

P. Sewerynowa. Myślę że mówisz Waćpan w gorączce?

P. Dyonizy. Tak jest w gorączce, bo mi już do żywego dopiekło.

P. Sewerynowa. Milcz Waćpan, nie unoś się, bo doprawdy...

P. Dyonizy. Milczałem lat piętnaście, ale dłużej niemyślę. Dzisiaj niechodzi tu o mnie, ale o nasze dzieci, które kiedyś w przyszłości na naszych grobach złorzeczyćby nam mogły, które nieskończyłyby na szafocie jak święci męczennicy, czego się Jejmość obawia, ale skończyłyby w nędzy, przeklęte od Boga i ludzi.

P. Sewerynowa. (*pomieszana do Gustawa*). Sądzę będziesz Pan tyle dyskretnym, i zostawisz nas samych?

Gustaw. Dłużej natrętnym nie będę, (*do Dyonizego*). Idziemy p. Dyonizy.

P. Sewerynowa (*z przyciskiem*) Dyonizy spodziewam się zostanie?

P. Dyonizy. Zostanę pod pewnemi warunkami.

P. Sewerynowa. Nieprzyjmuję żadnych.

P. Dyonizy. To szczęśliwej podróży z Anglikiem i Francuzką.

P. Sewerynowa (*przystępując do męża*). Co to ma znaczyć?

P. Dyonizy (*z flegmą*). To, że skoro nie stanie się wedle mej woli, którą nakazuje mi sumienie, rozstać się nam wypadnie; co zaś do Juliusza, o tego prawnie się dopomnę.

P. Sewerynowa. Śmiesznym jesteś mój panie mężu.

P. Dyonizy. Niepragnę jej rozśmieszać, żegnam! Mieszkam u Gustawa, co dla tego do jej podaję wiadomości, by skoro się pani namyślisz przyjąć moje *ultimatum*, porozumienie łatwiejszem było.

P. Sewerynowa. Owaryowałeś Waćpan.

P. Dyonizy. Być może — do widzenia!

P. Sewerynowa (*sama*). Otóż to skutki *Niewiasty;* teraz wszystkim się zdaje, że mają jakieś prawa moralizowania nas, przeklęte pismo!...

(*C. d. n.*)

TEATR.

Po raz ostatni we wtorek, to jest 28go maja, dano 3 sztuczki z pożegnaniem: „Gapiątko z St. Fleur", „Bogu dzięki już nakryte" i „Wiesław", a w końcu tableau. Drobne te sztuczki są, możnaby powiedzieć, owe *petits riens* francuskie, które jednak dobrze przedstawione potrafią na chwilę doskonale ubawić. P. Benda, Dembicki i p. Biedrońska w „Gapiątku" grali lekko, z wielkim humorem, — w „Bogu dzięki" p. Hoffmann i Janowski uzewnętrznili nam żywo te małe sceny zakochanego małżeństwa, których treścią *lana caprina*, a następstwem bardzo często przewództwo jednej lub drugiej strony (częściej jednak słabszej — to jest płci pięknej).

Zapadająca zasłona nie podniesie się nam aż podobno dopiero za 5 miesięcy, przynajmniej dla krakowskich artystów, bo podobno przez czas nieobecności tychże, ma zjechać towarzystwo lwowskie na kilkanaście przedstawień.

Umieszczoną w *Nadwiślaninie* wiadomością o pięknym przykładzie wzniosłego uczucia matki, pospieszamy podzielić się z naszemi Czytelniczkami:

„Przed laty niezbyt wielu żyła jeszcze w Poznańskiem znana i czczona powszechnie matrona, która w krótkim przeciągu czasu trzech synów na polu chwały straciła. Zbolałą, znękaną, odzianą żałobą, odwiedził prezes prowincyi, przybyły z kondolencyą na wiadomość, że jej trzeci syn poległ, gdyż ta zacna i rozumna niewiasta miała także wielkie poważanie między inoplemieńcami. Matka obywatelka podniosła się na przybycie jego, by nie pokazać, ile ją boleść złamała. Gość zaczął przemówienie swoje szumno-brzmiącym wyrazem głębokiego współczucia nad nieszczęściem, które ją jako matkę spotkało. „Nie nazywam tego nieszczęściem" odrzekła matrona, podnosząc blade czoło z dumą szlachetną, „trzech synów moich poniosło życie w ofierze dla kraju, wypełniając najwyższy obowiązek synów ojczyzny; była w tem Boża wola, że ich tutaj nie ujrzę więcej. Patrz pan!" — rzekła wskazując na ścianie portrety dzieci swoich — „mam jeszcze dwóch synów, obadwaj walczą w tej chwili. Poświęcam ich z chlubą, niechaj idą śladem poległych braci...."

Korespondencya od Redakcyi.

Szanownym PP. abonentom donosimy, że wszelka nieregularność w dosyłaniu tak mód jak samego pisma naszego nie pochodzi z naszej winy — i dla tego w tym przedmiocie porozumiemy się z dyrekcyą poczty.

Mody polskie z 1go kwartału b. r. tylko nowym prenumeratorom posłać możemy.

— JW. hr. T. w Hołob.: Numera musiały zaginąć w drodze, — za dokładnem tego sprawdzeniem nieomieszkamy żądaniu zadosyć uczynić.

— Panu M. Smól... w Waszkowcach na Bukowinie. Nadesłanej poezyi dla braku miejsca umieścić niemożemy.

— Pani Kociał.... w Bibitówce. Wierszy nadesłanych obecnie użyć nie możemy.

Mody za miesiąc maj jeszcze nie nadeszły z Paryża — z przyszłemi numerami poślemy je prenumerującym.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. Antoni Rother.